



TADEUSZ WĄGROWSKI

Warszawa, 31 maja 1946 r. Wiceprokurator Zofia Rudziewicz przesłuchała niżej wymienionego w charakterze świadka, bez przysięgi. Upředzony o odpowiedzialności karnej za składanie fałszywych zeznań świadek zeznał, co następuje:

Imię i nazwisko	Tadeusz Wągrowski
Data urodzenia	12 czerwca 1904 r.
Imiona rodziców	Stanisław i Helena
Miejsce zamieszkania	Warszawa, ul. Żulińskiego 6
Zajęcie	adwokat
Wyznanie	rzymskokatolickie
Karalność	niekarany
Wykształcenie	Wydz. Prawny Uniwersytetu Warszawskiego

Będąc członkiem Izby Adwokackiej Okręgu Apelacyjnego w Warszawie, znam szczegóły prześladowania adwokatury warszawskiej. Po ustanowieniu władz niemieckiej administracji ogólnej w Generalnej Guberni komisarzem dla reorganizacji adwokatury w dystrykcie warszawskim (der Beauftragter für die Reorganisation der Anwaltschaft im Distrikt Warschau) został mianowany przez Fischera były sędzia grodzki z Biura Orzecznictwa Sądu Najwyższego Wendorf, obywatel polski narodowości niemieckiej.

Wendorf powołał Radę Przyboczną (Beirat). Naruszało to przepisy statutu o palestrze (Prawo o ustroju adwokatury). Do Beiratu powołani zostali między innymi: Domański, Gadomski, Jerzy Czerwiński.

Na jednym z pierwszych posiedzeń Beiratu Wendorf przedstawił projekt szefa dystryktu warszawskiego w przedmiocie weryfikacji adwokatów z zastosowaniem klauzul

norymberskich i zażądał opinii. Rada w całości, z wyjątkiem jednego z członków, wypowiedziała się negatywnie, uzasadniając opinię tym, że zgłoszony projekt jest niezgodny z prawem polskim, a konwencje międzynarodowe zabraniają wprowadzania zasadniczych zmian w prawie krajowym podczas okupacji.

W odwet za tę opinię wszyscy, którzy za nią głosowali, przy weryfikacji zostali skreśleni z listy adwokatów, jako politisch verdächtig. Natomiast przy weryfikacji wszyscy byli kolejno wzywani do kierownika Wydziału Sprawiedliwości w dystrykcie, gdyż każdemu imiennie zadawano pytania w sprawie żydowskiej.

Nikt nie udzielił odpowiedzi potwierdzającej, natomiast część udzieliła odpowiedzi wykrętnych, reszta – odpowiedzi wręcz negatywnych. Mimo dania odpowiedzi negatywnych, adwokaci ci zostali zweryfikowani, jednak znaleźli się na listach proskrypcyjnych.

Zauważyć dało się następnie, że przy masowych aresztowaniach według list, aresztowani byli prawie wszyscy, którzy złożyli oświadczenia negatywne.

Wiadomości o przebiegu posiedzenia pod przewodnictwem Wendorfa mam od przyjaciela mojego Jerzego Czerwińskiego, zamordowanego w Oświęcimiu.

Pierwsza masowa represja w stosunku do adwokatury miała miejsce wiosną 1940 roku przez wybranie wszystkich obecnych w stołówce adwokackiej, mieszczącej się w domu rady (Al. Jerozolimskie 11). Gestapo aresztowało wówczas około czterdziestu osób, wywieziono je do Oświęcimia, skąd nikt nie powrócił.

Następne masowe aresztowania miały miejsce w dniach 2 maja i 3 lipca, a największe w nocy z 11 na 12 lipca 1940, kiedy to zabrano sto kilkadziesiąt osób wśród adwokatów.

Według wiadomości, jakie przenikały z Pawiaka za pośrednictwem żony adwokata Sobocińskiego, której udało się drogą przekupstwa nawiązać kontakt z uwięzionym mężem, nikt z aresztowanych nie był ani razu przesłuchiwany ani nie skonkretyzowano przeciwko nikomu zarzutów.

Spośród aresztowanych kilkanaście osób w sędziwym wieku (adwokaci Szczepański, Rembertowicz), zostało zwolnionych, reszta zaś wywieziona bądź do Oświęcimia, bądź

do Oranienburga, bądź do Mauthausen. Wywiezienie nastąpiło po mniej więcej dwumiesięcznym pobycie na Pawiaku.

Spośród tych osób, o ile pamiętam, powróciły tylko jednostki, np. adwokat Sobociński, obecny minister Świątkowski. Reszta wymarła lub została wymordowana w obozach.

Te cztery masowe aresztowania objęły ponad 300 osób i miały na celu wyłącznie wyłączenie inteligencji. Znając wielu z tych ludzi, mogę stwierdzić, że były to osoby, które w pracy ruchu oporu udziału nie brały.

Poza tym była niezliczona ilość aresztowań z tytułu podejrzenia o przynależność do ruchu oporu. Przy tej okazji zdarzały się wypadki aresztowania rodzin adwokatów. Np. gdy w 1943 roku aresztowano adw. Jerzego Czerwińskiego, żona jego zaprotestowała przeciwko brutalnemu zachowaniu się agentów gestapo w stosunku do jej męża. W odwet zaaresztowano ją i w trzy tygodnie później zamordowano. Dokładne szczegóły znam z ust matki i dziecka Czerwińskiej.

Poza tym zdarzały się wypadki, że przy aresztowaniu z listy, gdy nie zastano w kancelarii adwokata, aresztowano w zamian jego zastępcę lub aplikanta. Czasami zabierano nawet wszystkich znajdujących się w poczekalni klientów.

W roku 1943, w dniach 17 – 19 stycznia odbyła się w dystrykcie warszawskim tak zwana Gross Säuberrungsaktion. Do tej czynności użyto nie tylko miejscowej policji wszystkich rodzajów (Sicher-Ordnungs-Verkehrs i Schutz Polizei, Sicherheitsdienst, SD, SS-Polizei, gestapo, ukraińskich Werk-Bahnschutzów oraz Łotyszów), ale ponadto sprowadzono również SD i gestapo z Radomia i Krakowa.

W czasie tej trzydniowej akcji wyciągano ludzi z wszelkich środków lokomocji, przetrząsano mieszkania, zabierano z kin, restauracji i teatrów. Zdarzały się wypadki, iż wyciągano ludzi z domów w bieliźnie. Ogółem w ciągu tych trzech dni zaaresztowano około trzydzieści tysięcy osób, bez różnicy wieku i płci.

Aresztowanych gromadzono w poszczególnych dzielnicach na targowiskach lub większych placach, tam ładowano na samochody i wywożono na Pawiak. Tam na podwórku odbywała się pobieżna selekcja, w czasie której zwalniano osoby mogące wylegitymować się zatrudnieniem w tak zwanych Kriegswichtige Betriebe. Następnie rozdzielano ludzi

po celach i w ciągu kilku godzin, na skutek indywidualnych reklamacji z zewnątrz, zwolniono jeszcze niewielki odsetek.

Okoliczności powyższe stwierdzam na podstawie osobistych obserwacji i informacji współwięźniów, zostałem bowiem w czasie tej akcji, w dniu 17 stycznia, zatrzymany rano na Pradze.

Oddziały policji niemieckiej różnych formacji zamknęły wówczas dzielnicę ograniczoną mostem Poniatowskiego, ul. Zieleniecką, Targową, Zygmuntowską. Na teren ten tramwaje wjeżdżały swobodnie. Wskutek zamarzania szyb (z powodu dużego mrozu) nie było widać, co się dzieje na ulicy. Koło bazaru Różyckiego tramwaj, w którym się znajdowałem, został zatrzymany; gestapowcy, bijąc nahajkami, wypędzali ludzi na ulicę. Puste tramwaje kierowano ul. Żąbkowską.

Następnie, gdy nagromadziło się parę tysięcy ludzi na ulicy, oddziały policyjne zepchnęły tłum na teren bazaru Różyckiego, gdzie rozpoczęło się ładowanie na samochody. Byli tam starcy i kilkuletni chłopcy, staruszki, młode dziewczyny, matki z dziećmi na ręku.

Po przywiezieniu na Pawiak zastaliśmy na podwórzu tłum około sześciu tysięcy ludzi. Rozdzielono nas po celach. Przy legitymowaniu rabowano nam cenniejsze przedmioty lub pieniądze. Ulokowano nas w celi 176 (dwunastoosobowa), dokąd wtłoczono ponad 130 osób. Nie było możliwości ani usiąść, ani się położyć. Przy tym nagrzano bardzo silnie kaloryfery, tak, że ludzie mdleli z żaru.

Po trzydziestu godzinach ładowano nas partiami na samochody i wywożono na Dworzec Wschodni. Zostałem wywieziony może dziesiątym samochodem. Na dworcu ustawiono nas w długie kolumny, a następnie ładowano do zamrożniętych wagonów towarowych, po 70 do 90 osób na wagon. Ścisk był nie do zniesienia. Wagony zostały zaplombowane, pociąg jednak ruszył po wielogodzinnym oczekiwaniu. Na drogę na Pawiaku dano nam po bochenku chleba na osobę.

Transport do Lublina trwał czterdzieści osiem godzin, przy mrozie dochodzącym do 30°. Nagłe przeniesienie ludzi z nagranych cel na Pawiaku do zamrożonych wagonów i długotrwała podróż przy silnym mrozie wywołały ciężkie schorzenia prawie u wszystkich deportowanych.

Na brekach wagonów towarowych Niemcy zainstalowali reflektory i karabiny maszynowe.

Gdy w drodze wywożeni wyłamywali deski wagonów i wyskakiwali z pociągu w biegu, policjanci oświetlali trasę reflektorami i siekli z karabinów maszynowych. Urządzili prawdziwą masakrę. Dla przykładu przytoczę, że na krótkim odcinku między stacjami Puławy i Klementowice (około 20 kilometrów) sam naliczyłem, patrząc z jednej strony toru, sto dziewięćdziesiąt kilka ofiar. Był to odcinek mniejszego nasilenia strzelaniny. Poza tym wielu ludzi zginęło wskutek upadku na szyny bądź rozbili się o słupy telegraficzne.

Cyfry moje z powyższego odcinka potwierdzili później kolejarze ze stacji Puławy, pracujący w ruchu oporu. Według ich informacji, szpital w Puławach, po przejściu trzech transportów z Warszawy, był przepełniony.

Zaznaczam, że do stacji kolejowej w Lublinie konwojowała transport policja niemiecka z Warszawy, tam przejęły konwój dwie kompanie ukraińskie i jedna SD z Lublina.

Transport, który odszedł z Warszawy, składał się z sześćdziesięciu kilku wagonów. Licząc po osiemdziesiąt osób przeciętnie na wagon, wypada około 5 tys. ludzi. Z tego do Lublina dojechało jedynie około 3,5 tys. ludzi. Reszta z bardzo małymi wyjątkami zginęła po drodze od kul policji.

W następnych dniach nadeszły do Lublina jeszcze trzy transporty z Warszawy, z tej samej akcji, z których dwa były większe od mojego transportu, a jeden mniejszy.

Losy osób, które jechały w tamtych transportach były identyczne, jak i mojego i deportowani byli tak samo mordowani.

Ponadto z tejże akcji policyjnej przywieziono jeden transport z ośrodków prowincjonalnych dystryktu warszawskiego. Były w nim osoby z Siedlec, Mińska Mazowieckiego, Sochaczewa, Skierniewic, Grójca, Żyrardowa itp. Ludzi tych dowożono różnymi środkami lokomocji do Dębina i tam ostatecznie ładowano do pociągów. Osoby z prowincji, z którymi rozmawiałem, wspominały, że w miastach prowincjonalnych łapani byli połączone ze strzelaniną na ulicy, w czasie tego padło wiele trupów.

Wszyscy przewiezieni do Lublina zostali umieszczeni na Majdanku.

Obóz administracyjnie podlegał gestapo lubelskiemu, jednak co do osób wywiezionych w ciągu tej trzydniowej akcji z Warszawy, pełną jurysdykcję przez cały czas zachowało SD warszawskie i oficerowie warszawscy decydowali o traktowaniu i ewentualnym zwalnianiu deportowanych. Wiadomo mi o tym stąd, że szereg twarzy oficerów SD zapamiętałem na Pawiaku, a ponadto stąd, że mnie osobiście zwalniał Sturmbahnführer Hessenauer z al. Szucha. Od innych osób zwolnionych wiem, że o ich zwolnieniu orzekał także oficer.

Na Majdanku osobom przywiezionym z Warszawy przez cały czas mojego pobytu, to jest przez dwadzieścia sześć dni, nie dano kropli wody do picia, wskutek czego ludzie zjedli wszystek śnieg z dachów baraków i z placu, mimo że o 10 metrów od pola czwartego, na którym byliśmy uwięzieni, znajdowały się baraki żydowskie, objęte epidemią tyfusu.

Pierwsze pożywienie pod postacią gotowanych zgniłych kartofli dano uwięzionym na czwarty dzień po przyjeździe.

Ludzi umieszczano w barakach końskich po 500 osób. Baraki były nieuszczelnione i nieogrzane. Spało się na podłodze. Baraku nie wolno było opuszczać od 6.00 po południu do 6.00 rano. Na noc wstawiano do baraków nieuszczelnione skrzynie na ekskrementy, przy czym umieszczano je w ten sposób, aby ciecz wydostająca się ze skrzyni odpływała w głąb baraku. Wskutek tego ludzie budzili się rano w kałuży nieczystości przesiąkających ubranie i powodujących przymarzanie leżących na podłodze.

Na skutek takich warunków choroby wszelkiego rodzaju, a przede wszystkim zapalenie płuc i dróg moczowych, rozwijały się zastraszająco. Sądzę, że w momencie mojego zwolnienia nie więcej jak 5 proc. osób zachowało normalny stan zdrowia.

Zostałem zwolniony po 26 dniach, jako 514 więzień z akcji warszawskiej, na skutek wyreklamowania. Po mnie zwalniano jeszcze przez kilka dni, po czym zwolnienia ustały, rzekomo z powodu wybuchu epidemii tyfusu.

Nikogo z osób, które znałem z obozu, później już nie spotkałem. Sądzę, że zaginęły.